NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 10 października 1914. Nr. 41.

Na pole walki.



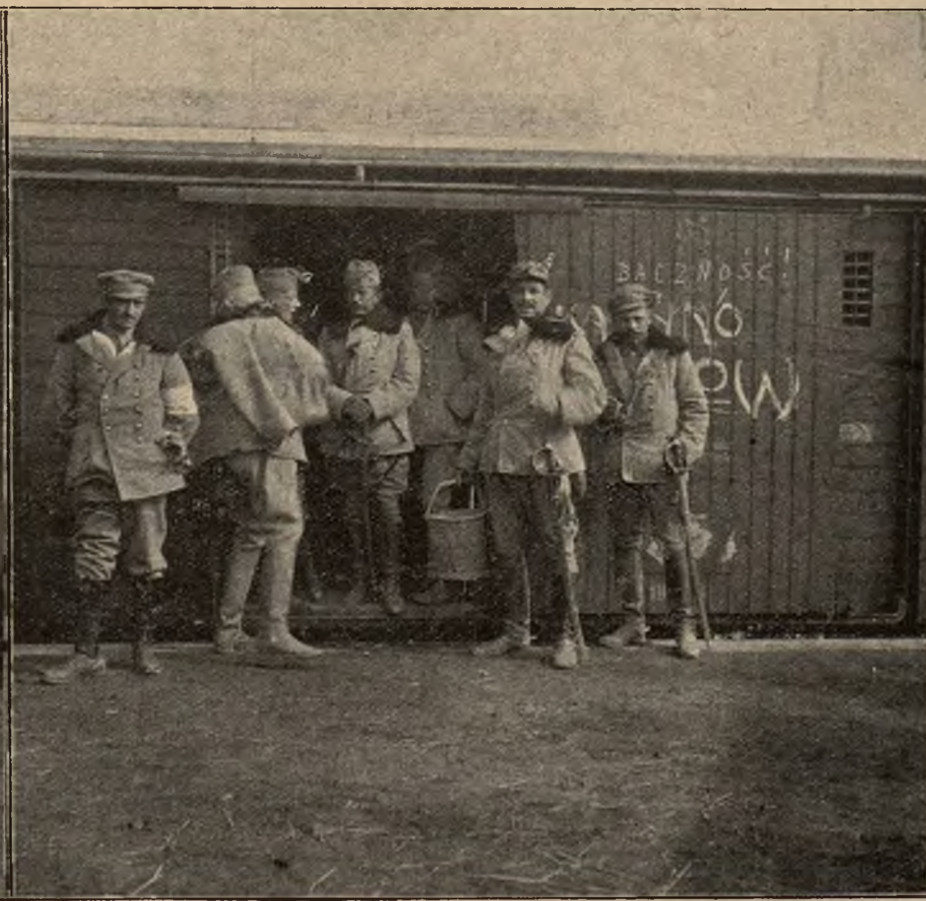
Odjazd Legionistów z Krakowa.

Na pole walki.

W zeszłym tygodniu wyjechały z Krakowa na plac boju dalsze pułki Legionu polskiego. Przygotowanie, sformowanie i odpowiednie zaopatrzenie było się niezwykle uroczyście, serdecznie, w pogodnym nastroju dziarskich Legionistów oraz odprowadzających ich rodzin.

Wśród wesołych Legionistów widziało się wiele twarzy dobrze znajomych z Krakowa. Pod znakami napełniało. Sympatyczną też grupę naszych ułanów tworzą krakowscy malarze z pp. Żelechowskim i Sperberem na czele, ich wagon rozbrzmiewał śpiewem i śmiechem, a wesołość ich i zapał udzielała się wszystkim jadącym.





Na pole walki: Przed odejściem pociągu z „polskimi ułanami".

tych kilku tysięcy naszych żołnierzyków, składające się przeważnie z materyału, pod względem wojskowym, całkiem surowego, zabrało sporo czasu i pracy komendzie i Naczelnemu Komitetowi Narodowemu, nie poszły jednak na marne, liczne bowiem i doskonałe kadry Legionu były świetnem ich uwieńczeniem. Po rozwiązaniu się sekcyi wschodniej N. K. N. oraz podległych jej oddziałów zostali ich chętni członkowie wcieleni do powiększonego Legionu zachodniego, poddanego jednej komendzie J. E. Karola Trzaski-Durskiego, marszałka polnego-porucznika. Wraz z odjeżdżającymi obecnie pułkami opuściła też Kraków komenda Legionu i cały jego sztab.

Pożegnanie Legionu na dworcu krakowskim od- Legionu pociągnęli liczni nasi artyści-malarze, aktorzy, literaci, wielu poważnych obywateli ze wszystkich sfer. Miły bardzo obrazek tworzyli konni Legioniści, z których odjazdu podajemy kilka illustracyi.

Do tego bowiem pułku wstąpił cały szereg wesołych, młodych ludzi z naszego miasta, idących na wojnę w szampańskich humorach. Największy kłopot sprawiała im tylko myśl o czyszczeniu koni, co jako zwykli żołnierze czynić będą musieli. Kule i niebezpieczeństwa wojny lekko sobie ważąc, np. sympatycznie znany artysta naszej sceny, p. Kosiński, pokazywał z dumą zgrzebło, które na równi z szablą i nowym zgrabnym karabinkiem wielką radością go

Liczna publiczność, żony i matki mimo rozrzewnienia i smutku radośnie żegnały tych zuchów, idących na wojnę, jak na bal.

Oddziały Legionu wyjeżdżały przez trzy dni, ostatniego ruszyła w pole komenda, którą oficyalnie żegnali reprezentanci N. K. N., prezydyum miasta i posłowie. Przed odjazdem pociągu generał Durski, otoczony sztabem Legionu, podziękował prezydentowi, dr. Leo, za wszystko, co nasze miasto dla Legionu uczyniło. Poczem krótka, wojskowa komenda: „wsiadać" zakończyła pożegnanie, a pociąg, rozbrzmiewający pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła", uwiózł od nas naszych wojaków.

Z racyi wymarszu na pole walki komendant Le-



Na pole walki: Odjazd konnych Legionistów z dworca towarowego w Krakowie.





Na pole walki: Odjazd piechoty Legionu z dworca towarowego w Krakowie

gionu, gen. Durski, wysłał do cesarza następujący telegram:

„Przepełnione głęboką wdzięcznością, jaką naród polski winien Waszej Cesarskiej Mości, naszemu Najdostojnieszemu Naczelnemu Wodzowi, i pomne wojennej sławy przodków — ruszające dziś na pole walki pułki polskich Legionów odnawiają świętą przysięgę, iż będą walczyły do ostatniej kropli krwi za Waszą Cesarską Mość, za słuszną sprawę monarchii austro-węgierskiej, za uwolnienie Polaków z pod jarzma rosyjskiego".

Z walk w Królestwie Polskiem.

Nieszczęśliwe ziemie polskie, przez które przewala się huragan obecnej wojny z Rosyą, doświadczają tych wszystkich okropności, jakiemi znaczą swe ślady walki wojsk. Slady te to pożary i zgliszcza z sadyb ludzkich, ruina ich mienia i wszystkich urządzeń, jakie dla uregulowania życia im służyły. W szerokim promieniu od terenów bitew dają się odczuć straszne skutki wojny, okolice zaś nią nawiedzone zmieniają swój obraz z kwitnących okolic na pustkowia. Kraje polskie cierpią tem więcej, że z jednej strony, t. j. rosyjskiej przewalają się przez nie dzikie masy wojsk Rosyi, które swą bez-



Na pole walki: Legioniści spieszą do pociągu na dworcu towarowym w Krakowie.



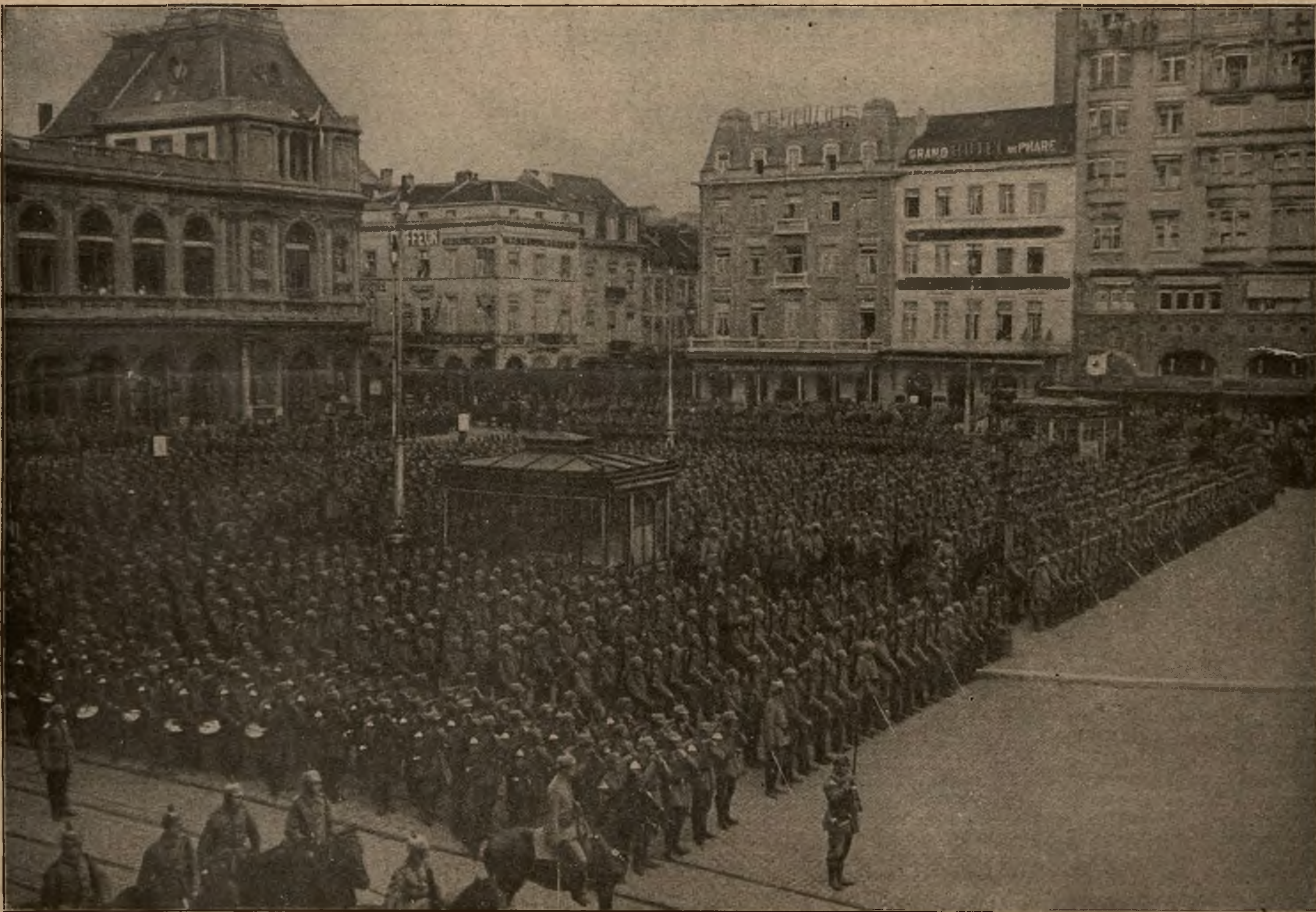
Na pole walki: Legioniści na dworcu krakowskim

względnością obostrzają jeszcze bardziej srogie prawo wojny. Jak doszły nas wieści ze wschodniego terenu wojny na obszarze Królestwa, t. j. z Lubelskiego, toczące się tam krwawe bitwy pod Kraśnikiem, Zamościem, Komarowem i Tyszowcami spowodowały w tej części ziemi lubelskiej wielkie spustoszenia. Liczne dwory i folwarki oraz osady w ordynacyi Zamoyskiej, jak cukrownie, młyny i t. p. zniknęły zupełnie z powierzchni ziemi. Czego nie zburzyły kule i granaty, dokończył pożar.

Najgorzej jednak ze wszystkich okolic odczuło obecne wypadki Kieleckie. Samo miasto wskutek różnych operacyj strategicznych tak naszych armii, jak i rosyjskiej, zmieniało już czterokrotnie rządy. Oswobodzone z początku wojny popadło niebawem chwilowo w ręce rosyjskie, po wycofaniu się następnem Moskali, powracali oni tam jeszcze trzykrotnie, aż wreszcie obecnie wyrzuciła ich armia niemiecka, zajmując także i Radom. Każdorazowy powrót Moskali upamiętnili oni srogiemi represyami na mieszkańcach, z których wyciskali pod różnymi pozorami kontrybucyę w gotówce lub w naturze. Zrujnowani mieszkańcy ponoszą okropne straty, które powiększają jeszcze rekwizycye przechodzących wojsk.



Na pole walki: Pociąg z odjeżdżającymi Legionistami na dworcu krakowskim.



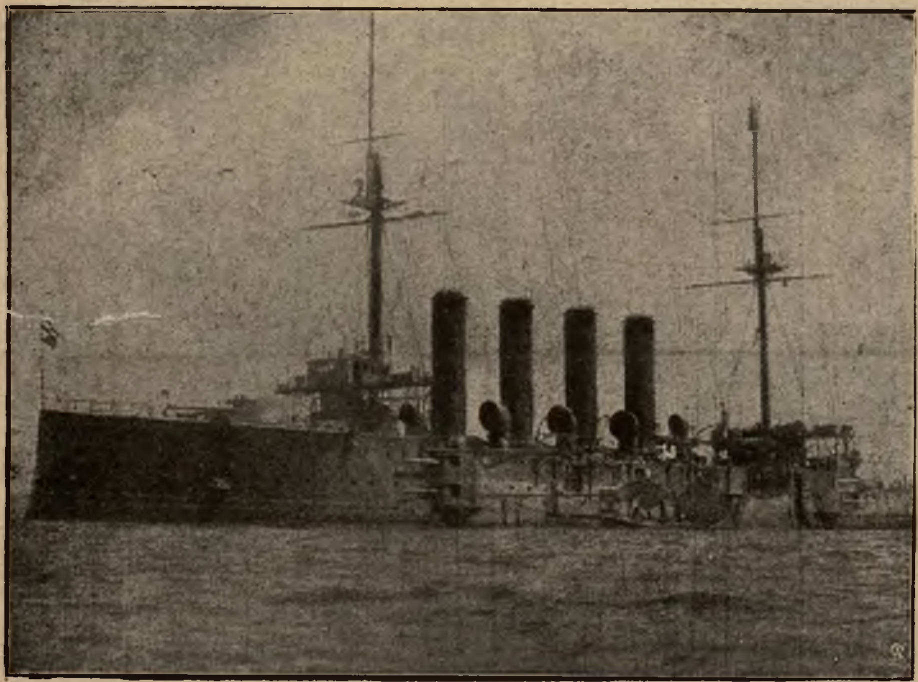
Na teatrze wojny europejskiej: Parada wojsk niemieckich na rynku w Brukseli.



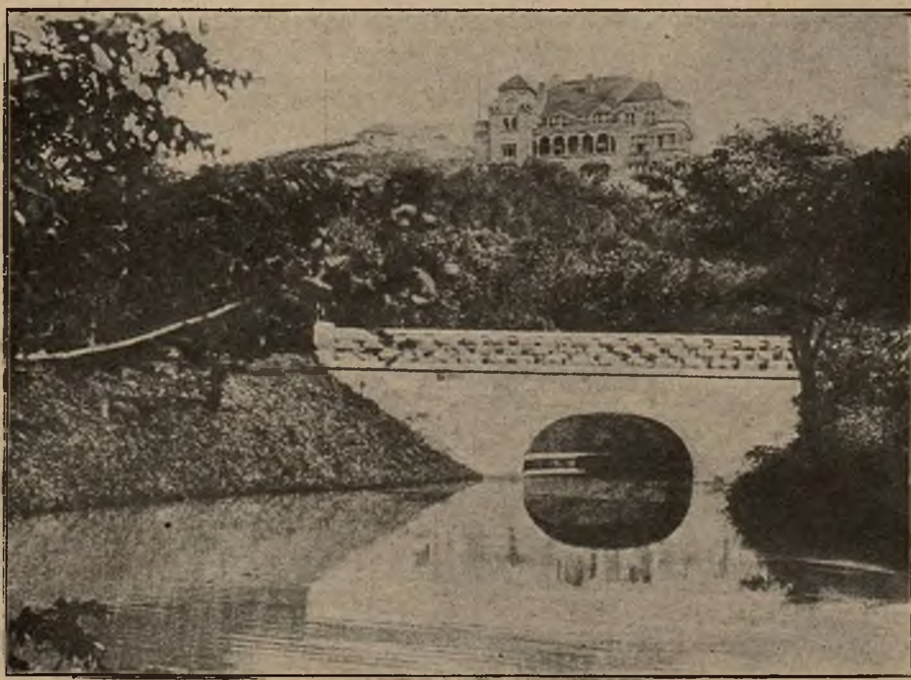
Z walk w Królestwie Polskiem: Artylerya austryacka pod Zamościem.

Japonia w walce z Niemcami.

Nowoczesne kombinacye polityczne i związki państwowe stworzyły sytuacyę dość dziwną, mianowicie w obozach walczących znalazły się przy sobie różne narody i rasy, niedawni wrogowie połączyli się dla żawę tego kraju, na mocy umowy oddającej go na lat 99 w posiadanie państwa niemieckiego. Kiau-Czau (deutsches Schutzgebiet) obejmuje 540 klm.² i do 70.000 mieszkańców. Stolica Czing-tau jest siedzibą gubernatora niemieckiego oraz licznej kolonii europejskiej. Wybrzeże to bogate w płody kopalne miało obok handlowej wielką wartość przemysłową. Emancypująca się z pod wpływów Europy Japonia niechętnem okiem patrzała na to ognisko działań niemieckich na morzu Zółtem i obecnie, podburzona przez Anglię, wystąpiła przeciw Niemcom, żądając usunięcia z wód tamtejszych ich okrętów. Był to nieoczekiwany krok ze strony Japonii i stworzył *casus belli*, włączając państwo Wschodzącego Słońca w szereg nieprzyjaciół Niemiec, z którymi przychodzi im teraz się porać.



Wojna w głębiach morza: Druga „ofiara“ niemieckiej łodzi podwodnej „U 9“ — krążownik „Hogue“.



Japonia w walce z Niemcami: Pałac gubernatora niemieckiego w Czing-tau.

pobicia świeżego nieprzyjaciela. Anglia zmagając się obecnie na śmierć i życie z Niemcami, zmobilizowała przeciw nim wszystkie sprzymierzone i podwładne jej mocarstwa i rozciągnęła wojnę na świat cały, na wszystkie kolonie, morza i lądy niemieckie. Do tych egzotycznych ogniw łańcucha obecnych walk należy wojna niemiecko-japońska na wodach żółtych, o dzierżawę niemiecką — Kiau-Czau. Jest to wschodnia część prowincyi chińskiej Szantungu i półwyspu nad morzem Zółtem, a tamtejsza zatoka posiada znaczenie dla wschodniego handlu z Chinami, Japonią i Koreą. Od roku 1897 należy Kiau-Czau wraz z zatoką do Niemiec, po zajęciu przez flotę niemiecką, jako zadośćuczynienie za zamordowanie tam misyonarzy niemieckich. W roku 1898 zamieniły Niemcy tymczasową okupacyę na stałą dzier-

Wojna w głębiach morza.

Klęska Anglii pod Hoek van Holland, gdzie trzy pancerne krążowniki zniszczyła jedna łódź podwodna niemiecka — okazała światu nową i straszną broń w walkach morskich, mogącą zmienić całą dotychczasową ich taktykę i uzbrojenie floty. Z otwartej sfery walk na powierzchni morza przeniosła się walka wgłąb oceanów, by tam skrycie i pewniej prowadzić swe dzieło zniszczenia. To, co było fantazyą powieściową Juliusza Vernego, zrealizowało się, przechodząc ją nawet ponad najśmielsze pomysły. Tak jak w dziedzinie bitew lądowych przybyły w obecnej wojnie światowej walki powietrzne — wojna morska przetworzyła się w znacznej części w podmorską, wyzyskując tę nową sferę z nadzwyczajną pomysłowością. Uzbrojenie i opancerzenie olbrzymich statków czyniło je wprost niepokonanymi, dlatego też w ciągłej konkurencyi o panowanie nad morzem, słabsze państwa zwróciły uwagę na inne środki walki, niszczące obronność pancerników. Problem ten stał się aktualnym od czasu udoskonalenia jednej z ważniejszych broni morskich, t. j. torped, które nowoczesny mechanizm i wypełnienie nowemi substancyami wybuchowemi uczyniły najniebezpieczniejszem narzędziem współczesnej marynarki. Straszne te po-



Japonia w walce z Niemcami: Zatoka w Czing-tau z widokiem na port.

ciski wyrzucają na przeciwnika łodzie podwodne, przystosowane do sposobu walki, jakiemu służą. Kryjąc się zupełnie pod falami, suną stale na dwa do trzech metrów w głębi morza, zbliżywszy się zaś do atakowanego okrętu zagłębiają znacznie pod powierzchnię. Bieg swój regulują przy pomocy „oka“ t. j. peryskopu, wystającego do dwóch metrów nad fale. Jest on bardzo trudno dostrzegalny, gdyż rozmiarem nie przewyższa zwykłej lunety.

Upatrzywszy ofiarę, łódź podwodna chowa peryskop i zbliżywszy się do okrętu na dystans od 800 — 500 m. wypuszcza torpedę i ucieka z szybkością krążownika, a więc dość bezpiecznie.

Największą zaletą takiej łodzi jest szybkość, którą przez wprowadzenie maszyn turbinowych i najnowszych motorów podnosi się ciągle. Floty Anglii,



Wojna w głębiach morza: Zatopiony krążownik angielski „Cressy“.

Francyi i Niemiec posiadają całe flotylle podwodne, lecz zdaje się Niemcy, poniechawszy budowę kolosalnych naddreaghnouth'ów, doprowadziły swe łodzie do najwyższej doskonałości. Przy sprzyjających warunkach i jeszcze dalszych inowacyach łodzie podwodne mogą mieć w walkach morskich decydujące znaczenie, oddając nadto wielkie usługi przy obronie wybrzeży. Są one świetnymi wywiadowcami, przeszkadzają blokadzie wybrzeży przez nieprzyjaciela i znaczne części mórz mogą uczynić niedostępnymi wprost



Na teatrze wojny europejskiej: Brama burgundzka w Longwy po zbombardowaniu.

dla inwazyi wroga. Do walki z niemi służą kontrtorpedowce, lecz skuteczność ich jest bardzo mała, tak samo bowiem jak krążowniki, są bezbronnymi wobec niewidzialnej łodzi.

Wobec ociężałych krążowników, są łodzie podwodne jakby „lekką kawaleryą“, z tą różnicą, że używane przez nie pociski zaliczyć można do najcięższych. Pociski te, to torpedy podobne do min podwodnych, z tą tylko różnicą, że są ruchome i wyrzucone w pewnym kierunku, płyną ściśle do celu. Torpedami posługiwano się od dawna, już w XVIII wieku konstruowano „wodne maszyny piekielne“ — doskonalono je jednak ciągle, aż ostatnio przez zastosowanie elektryczności stały się niebezpiecznymi. Obecnie używa się trzech typów torped. „Torpedy-ryby“ pomysłu austryackiego oficera marynarki Lupis'a, udoskonalone przez fabrykanta angielskiego Whitehoad'a. Są to puszki w kształcie cygara, długości 4 — 8 m o półmetrowej średnicy.

Część przednią wypełnia ładunek 30 do 50 kilogramów bawełny strzelniczej, zapalającej się od naboju wybuchającego przy uderzeniu o ciało twarde; w następnej, ku tyłowi, komorze mieści się mechanizm, regulujący przyrząd sterowy, umieszczony na końcu torpedy, jeszcze dalej ku tyłowi torpedy znajduje się komora z powietrzem zgęszczonem pod ciśnieniem 100 do 150 atmosfer. Za komorą drugi mechanizm wprawia w ruch umieszczone na końcu dwie śruby, które obracając się, posuwają torpedę naprzód. Umieszczona na torpedowcu czy na łodzi t. zw. „rura torpedowa“ wyrzuca pneumatycznie torpedę, która wkrótce po wyjściu z rury zanurza się i pod wodą płynie w kierunku, w którym ją nastawiono, a uderzywszy w statek nieprzyjacielski, eksploduje. Cena jednej „torpedo-ryby“ waha się od 6000 do 12000 K.

Innym rodzajem jest „torpeda dziryt“ przymocowana na końcu drążka, umieszczonego pod wodą na przodzie łodzi torpedowej. Drążek ma długości 7 do 15 m., a nabój połączony jest z bateryą elektryczną na statku. Przy ataku łódź torpedowa bieży w największym pędzie wprost na statek nieprzyjacielski, a w chwili uderzenia o ścianę statku nieprzyjacielskiego, prąd elektryczny zapala nabój i wybucha.

W razie powodzenia, razem z zaczepionym ginie



Na teatrze wojny europejskiej: Straszne skutki bombardowania: zburzony wodociąg w Longwy.



Na teatrze wojny europejskiej: Plac przed bramą francuską w zburzonej fortecy Longwy.

zazwyczaj i zaczepiający, to też tego rodzaju ataki podejmuje się tylko w ostatecznym wypadku.

Trzecim rodzajem jest „torpeda pływak“, 1 do $1^1/_2$ m. długa skrzynka blaszana, zanurzona parę metrów pod wodą, uwiązana na długiej linie do tylnej części łodzi torpedowej. Łódź zręcznym manewrem okala zdala statek nieprzyjacielski w ten sposób, aby torpeda urzerzyła o jego spód i eksplodowała. Torped tych zaniechano prawie zupełnie, ponieważ przy lada nieostrożności stają się równie niebezpiecznemi dla własnych statków, jak i nieprzyjacielskich.

Tryumf jenerała Hindenburga.

Pogromca Rosyan w Prusach Wschodnich, jenerał Hindenburg urósł dziś w oczach świata na bohatera, którego nazwisko złotemi literami zapisane być powinno w historyi.

Nie tak jednak dawno temu, lat zaledwie kilkanaście wstecz, gdy kto w sztabie jeneralnym berlińskim wspomniał coś o Hindenburgu, naówczas komendanta korpusu, uśmiechano się z politowaniem, kiwano głowami, a niejeden z dygnitarzy wojskowych, jeśli nie powiedział głośno, to przynajmniej pomyślał sobie, słysząc jego nazwisko: maniak!

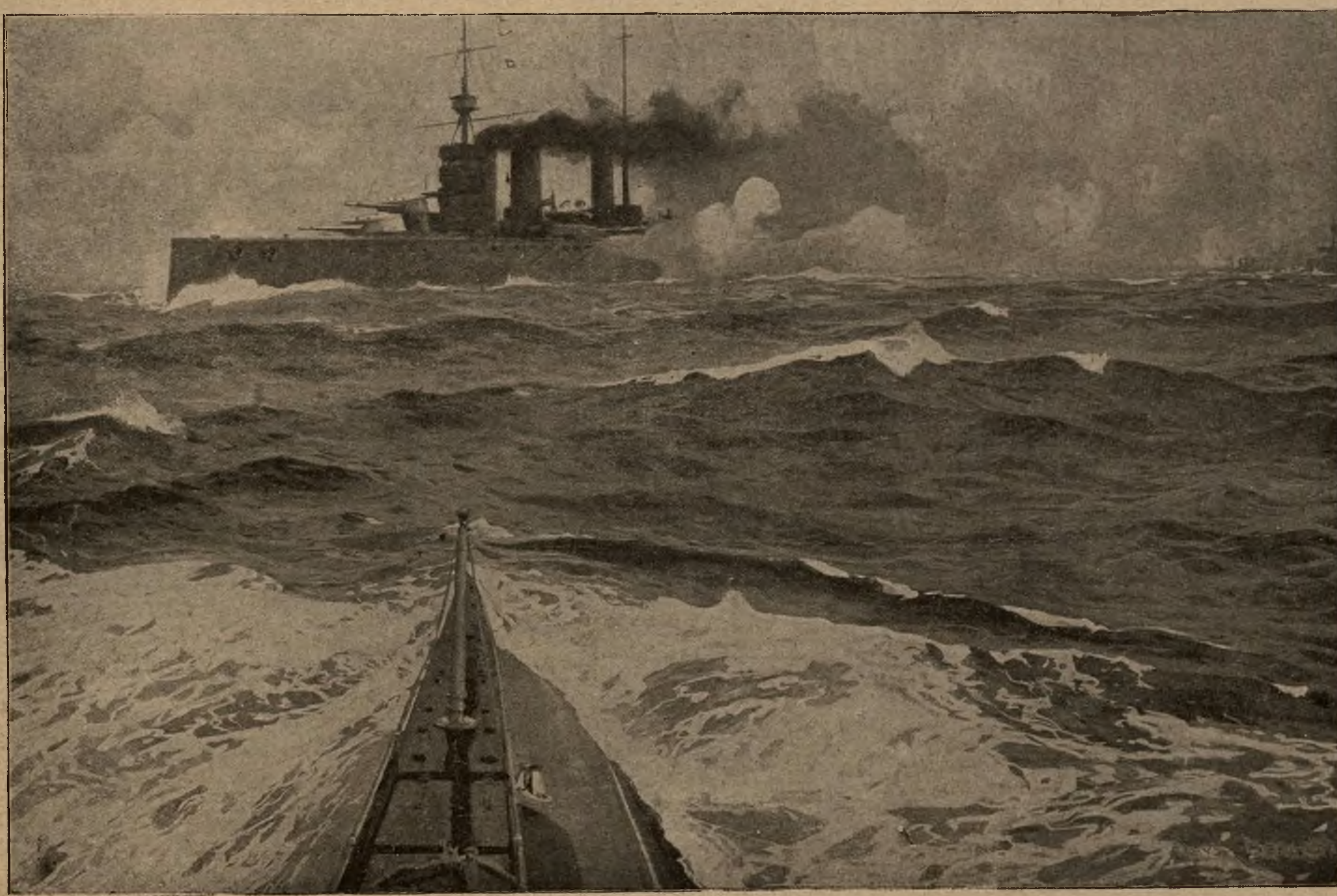
Bo rzeczywiście miał on manię, a były nią jeziora Mazurskie w Prusach Wschodnich, w okolicy, zwanej przez wojskowych „straconym trójkątem“. Na zbadanie ich dokładne poświęcił Hindenburg wiele czasu i trudów i doszedł do przekonania wręcz przeciwnego, niż inni strategicy niemieccy, którzy byli zdania, że ta część kraju nie oprze się nigdy inwazyi rosyjskiej.

Gdy ogólnie stwierdzono, że na wypadek wojny do jezior owych nie należy się nawet zbliżać, Hindenburg mówił krótko i węzłowato: „Rosyan trzeba wepchnąć w jeziora, tam znajdą swój grób...“ Nie były to przecież gołosłowne twierdzenia, ilekroć Hindenburg dowodził podczas manewrów w Prusach Wschodnich armią, mającą za zadanie obronę granic przeciw najazdowi rosyjskiemu, z reguły osaczał przeciwnika, właśnie wśród owych jezior.

Ale i to jeszcze nie potrafiło przekonać decydu-



Na teatrze wojny europejskiej: Dom w Longwy, trafiony granatem niemieckim.



Walka w głębiach morza: Atak łodzi podwodnej.

jących sfer, jeziora postanowiono osuszyć. Gdy o tem doszła wiadomość do Hindenburga, zebrał swoje mapy, rysunki i obliczenia i pojechał z nimi do Berlina, gdzie rozpoczął wędrówkę po posłach, jenerałach, redakcyach, wykładając wszędzie zapatrywania na kwestyę jezior, które, zdaniem jego, należy utrzymać w tym stanie, w jakim są obecnie.

Wiedząc, że musi przegrać, bo nikt go nie popiera, chwycił się ostatniej deski ratunku. Udał się do cesarza Wilhelma i wymógł na nim przyrzeczenie, że jeziora pozostały niezmienione. Podobno i cesarz,



Na teatrze wojny europejskiej: Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, generalissimus armii rosyjskiej.

obiecując, uśmiechał się także nieznacznie pod wąsem.

Ale jeziora pozostały...

W kilka tygodni później przeszedł Hindenburg na emeryturę i cały wolny czas poświęcił dalszemu badaniu kwestyi, która go zajmowała. Lato spędzał zawsze nad jeziorami, kupił sobie nawet stare działo, które kazał ciągnąć przez bagna, by się przekonać, jak głęboko grzęźnie. Takie same próby powtarzał z wypożyczonemi cięższemi armatami i tak dokładnie



Na teatrze wojny europejskiej: Lord Karol Kitschner, nowy angielski minister wojny.

poznał topografię okolicy, iż śmiało mógł powiedzieć, iż żadna ścieżka, żaden bród nie jest mu obcym.

Wybuchła wreszcie obecna wojna, jenerał Hindenburg, dziś emeryt, przydzielony został do dyspozycyi naczelnej komendy armii, operującej przeciw Francyi. Gdy jednak nadeszła wiadomość, że Moskale pojawili się w okolicy jezior Mazurskich, przypomniano sobie teoryę Hindenburga, z których się ongiś wyśmiewano i oddano rzekomemu maniakowi dowództwo nad wojskiem, które miało stawić czoło najeźdźcy.

I teraz dopiero znalazł się w swym żywiole. Od chwili, gdy przybył do Prus Wschodnich, szala zwycięstwa przechyliła się na stronę wojsk niemie-



Ewakuacya Krakowa: Odjazd pociągu ewakuacyjnego z dworca towarowego.



Tryumf generała Hindenburga: Widok na jezioro Lewientyn pod Łoczanami, gdzie została rozbita wileńska armia gen. Rennenkampfa.



Na teatrze wojny europejskiej: Gruzy z głównej ulicy w Longwy.



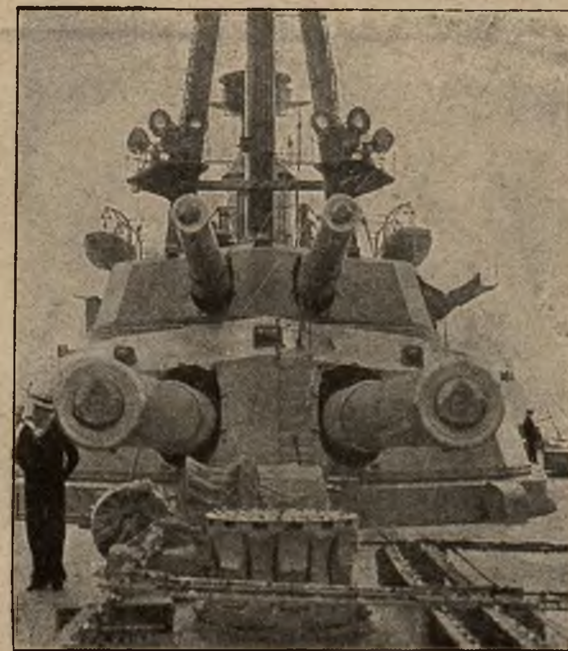
Na teatrze wojny europejskiej: Rosyjski aeroplan, zdobyty w Prusach Wschodnich.

ckich, obie armie rosyjskie rozbito doszczętnie, a tysiące żołnierzy nieprzyjacielskich potopiły się właśnie w tych jeziorach Mazurskich, które zdaniem przeciwników Hindenburga miały być niebezpiecznemi... ale dla Niemców.

Bodaj każda armia miała jak najwięcej tego rodzaju maniaków!

Ewakuacya Krakowa.

Czasy wojenne przynoszą cały szereg niezwykłych zjawisk, zdarzających się w miejscowościach odległych nawet bardzo od terenu bitew. Z chwilą rozpoczęcia wojny, i to takiej jak obecna, z olbrzymią potencyą Rosyi na północy i jej pupilką — Serbią na południowej granicy, zatrzymało i zmieniło tok normalnego życia w całej monarchii, która obecnie wszystkie swe siły wytężyć musi do walki z obustronnymi wrogami. Fale wojenne z placów bitw uderzają aż o stacye graniczne, do jakich należy Kraków, znajdujący się nadto w wyjątkowem położeniu jako forteca, którą należy na wszystko przygotować. Przeżywamy też w Krakowie wszystkie echa burz wojennych, szalejących w bliższych i dalszych stronach. Docierają też do nas echa w różnej postaci, czy to rannych i maruderów z terenu walki, czy też jako cywilna ludność, którą wojna z ich sadyb wygania. Puls też naszego miasta bije gorączkowo, przeciągają przez nie co raz to nowe korowody wojsk i ludności, a nadto bieżące wypadki powodują dobrowolną i przymusową emigracyę stałych jego mieszkańców, których władze przewożą do spokojniejszych miejscowości. Jako forteca Kraków musiał ograniczyć liczbę mieszkańców cywilnych do koniecznego minimum, a nadto przygotować się na wszelkie ewentualności wojny, jakie się mogą zdarzyć. Zamożniejszym polecono zaopatrzyć się w żywność na czas dłuższy, biedniejszych zaś przewozi się na koszt państwa do Krainy i na Morawy, by w ewentualnym czasie dni krytycznych nie byli ciężarem dla twierdzy. Podnieść należy, że ludność uboższa przedmieść i okolic, choć płochliwsza, zachowała wobec tych zarządzeń takt i spokój. Wykazała przez to dojrzałość naszego społeczeństwa, nawet w warstwach niższych, które również zrozumiały, że do zwycięstwa armii potrzebny jest ład wewnątrz kraju. Bogatsi odjechali już dawniej, obecnie z nowego dworca towarowego odchodzą od kilku dni pociągi z przymusowo wywożonymi, wśród których przeważają biedni mieszkańcy dzielnic żydowskich. W poszczególnych dzielnicach powstały pod patronatem zarządu miasta komitety opiekujące się wyjeżdżającymi. Niektóre dzielnice jak np. Grzegórzki i Dąbie, z których illustracye podajemy, zorganizowały gremialny wyjazd dla złagodzenia sobie chwil tymczasowej wędrówki. Wszyscy jednak opuszczają rodzinne miasto w najlepszym nastroju — uważając swój odjazd, i słusznie, za czasowy i żegnają Kraków wesołem — do widzenia.



Walka w głębiach morza: Wieża pancerna na krążowniku angielskim.



Na pole walki: Ułani austryaccy jadą na plac boju w wesołym nastroju.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

19

Z trudem zdjąłem z półki jeden z tych słojów, a nie mając sposobu do rozpakowania go, gdyż pokrywa mocno była przytwierdzona sznurkami, upuściłem go na ziemię, żeby się roztrzaskał. Wysypały się z niego podłużne ziarna, podobne do kukurudzy, zgryzłem jedno bez wahania i z radością skonstatowałem, że smak ich słodki i pożywny nie miał w sobie nic nieprzyjemnego. Nasyciłem się szybko tą niespodziewanie zesłaną manną, zadowolony, że już więcej nie odczuję cierpień głodu.

Mógłbym rok cały żyć bezpiecznie, posilając się nagromadzonymi tu zapasami, a przewidywałem, że podziemia również obficie zaopatrzone być muszą.

Gdy odzyskałem trochę sił, zabrałem się do rozpakowania balów, zaszytych w skórę. Zawierały one suszone ryby. Lecz musiały one tu leżeć od wielu lat zapewne, gdyż były tak twarde, że bez pomocy noża lub siekierki nie mogłem marzyć o ich pokrajaniu.

Pospieszyłem do sali następnej. Tam znowu napotkałem obfite nagromadzenie pni cylindrowych. W pierwszej chwili sądziłem, że natrafiłem na zapas drzewa opałowego. Obejrzałem dokładnie te pnie i przekonałem się, że należą do gatunku roślin, podobnych do bambusów i przepiłowane były w miejscach, gdzie znajdowały się sęki, tworząc tym sposobem rodzaj obszernych beczek.

Starałem się paznogciami odedrzeć wosk, którym zapieczętowane były i nabrałem w dłoń kilka kropel płynu w nich zawartego. Niedowierzająco powąchałem najprzód ten likier o zapachu dojrzałego owocu ananasu, cytryny i malin. Nie przypuszczałem, aby tak pociągający zapach mógł zawierać w sobie jakieś zdradliwe substancye, a przytem niktby przecież w takiej ilości nie przygotował trucizny.

To rozumowanie zdecydowało mnie. Skosztowałem tego nieznanego eliksyru. Miał smak zbliżony do wina hiszpańskiego. Była to mieszanina przeróżnych wyciągów kwiatów, w której jednak zauważyłem obecność eteru, co uczyniło mnie ostrożnym. Wypiłem kilka łyków i natychmiast przyjemne, krzepiące uczucie rozeszło się po całem mojem ciele.

Żaden z ziemskich płynów nie wywołał w organizmie moim podobnego uczucia wzmocnienia, a w przeciwieństwie do spożywanych na ziemi płynów alkoholizowanych nie doświadczałem ani zbytniego podniecenia i wesołości, ani rozgorączkowania lub nagłego rozpalenia krwi.

Byłem zupełnie spokojnym i trzeźwym do tego stopnia, że ujrzałem nagle w umyśle moim jasny obraz przeżytych dni i niebezpieczeństw. Po chwili uczułem gwałtowną potrzebę ruchu i świeżego powietrza.

Już kilkakrotnie zauważyłem, że atmosfera panująca w tych podziemiach jest duszna i przygniatająca, ale teraz wprost oddychać nie mogłem, jakgdyby powietrze pozbawione było najkonieczniejszych substancyj.

Przekonany, że odnajdę, kiedy mi tego będzie potrzeba, ten dobroczynny skład żywności, udałem się do sali posągów a stamtąd do galeryi podwodnej.

Panował w niej mrok zupełny, co mnie niemile zdziwiło. Zajęty poszukiwaniami, nie zauważyłem, że noc już nadeszła, a w galeryi podwodnej widocznie nie było tego jasnego oświetlenia wywołanego automatycznie dotknięciem moich stóp. Stanąłem niezdecydowany, zaabsorbowany troską, gdzie tę noc przepędzę. W galeryi panował chłód zanadto dotkliwy, a w podziemiach powietrze było niezdrowe i niebezpieczne dla organizmu. Skierowałem się więc do kryształowej wieży, zdecydowany wybrać jedno zagłębienie na pokój sypialny. Pomimo ciemności, wiedziałem, że nie mogę zabłądzić, gdyż dotąd szedłem ciągle tylko w prostej linii.

Łagodne światło płynęło od uśpionego morza, a kiedy przechodziłem obok koralowej wsi, ujrzałem ją w fosforycznem blado-szafirowem i żółtem oświetleniu, odcinającem się z cudowną wyrazistością od ciemnego, ponurego tła.

Lasy alg i pola, które widziałem, również były opromienione bladem światłem. Od zwierzokorków i roślin bił jakiś blask dziwny, niby stłumiony refleks księżyca o miękkich, szafirowych cieniach. Dziwnem zjawiskiem była ta jasność promieniująca od roślin i zwierząt wśród ciemnej głębi horyzontu.

Nad całą wsią wisiał spokój i cisza niczem niezmącona; morze było puste, ryby uśpione pod algami, a skorupiaki ukryte w dziuplach skał.

W pewnej chwili dostrzegłem wielką, czarną masę o rozszerzonych ognistych źrenicach, sunącą szybko pod wodą. Zjawisko to znikło momentalnie i nie mogłem rozpoznać dokładnie co to było: czy wielka ryba, czy jeden z tych potworów morskich, którego widok niegdyś nabawił mnie takiem przerażeniem.

Znajdowałem się obecnie w kręgu spiralnym wiodącym do szczytu wieży. Mogłem wynaleźć sobie schronisko na niższych piętrach, ale dziecinna ciekawość pociągała mnie na szczyt. Chciałem się przekonać czy sznur skręcony przezemnie i pozostawiony na platformie, z której zeszedłem, znajduje się tam jeszcze. Zapuściłem się więc w ten kręty, wznoszący się w górę korytarz, lecz w żaden sposób nie mogłem odnaleźć dawnej mojej kryjówki.

Po długiem, bezowocnem szukaniu, postanowiłem umieścić się o ile możności najwygodniej w pierwszem lepszem zagłębieniu. Oparłem się o wystający brzeg pomiędzy dwoma kolumnami z kryształu, odgradzającemi klatki od głównej przepaści i odkryłem w kącie stos substancyi, który w pierwszej chwili wziąłem za wełnę, ale po dokładniejszem rozpatrzeniu, rozpoznałem zwoje przędzy jedwabnej.

Zrobiłem sobie z niego miękką poduszkę i zabierałem się do spania; zaniepokojony przeróżnemi myślami wpatrywałem się długo w arkady nieskończone wieży, na których Phoibus i Deimos rzucały promienie światła, nadając przeźroczystym kolumnom mgliste półcienie.

Gwiazdy iskrzyły się na czystem niebie; zapytywałem się, czy nie byłem igraszką halucynacyi, czy nie byłem przypadkiem p d wrażeniem chwilowego szału zmysłów, podczas którego moja dusza błądziła astralnie na Marsie, kiedy ciało moje skrępowane łańcuchami legło w kryjówce jakiego „lunatycznego asylum" lub w kryptach tajemnej indyjskiej świątyni.

Ale spojrzawszy w niebo, rozpoznałem znajomy geometryczny rysunek konstelacyi i ujrzałem wreszcie Ziemię, z małą plamką stłumionego światła, świecącą dyskretnie w pośrodku zarzewia świetlanych planet, tę Ziemię, na której pozostawiłem wszystko, co ukochałem najsilniej!...

Robert Darvel umilkł, a głębokie wzruszenie odmalowało się na jego twarzy. Miss Alberta objęła jego zbladłą twarz spojrzeniem, pełnem ukochania i wdzięczności.

— W chwili kiedy byłem pogrążony w tych rozmyślaniach — ciągnął dalej — usłyszałem niedaleko od siebie suche trzepotanie skrzydeł i prawie natychmiast, zanim zdołałem przygotować się do obrony, zostałem pochwycony w drapieżne jakieś lepkie i ślizkie palce. Około mojego ciała owinęło się coś ruchem gibkim węża. Było to, to samo uczucie, którego już doznałem tam wśród oceanu duszących mnie roślin i pod wrażeniem którego straciłem przytomność.

Krew moja zlodowaciała w żyłach. Byłem pewny, że wybiła już ostatnia godzina mojego życia.

Ale mój przeciwnik, którego kształtu wśród ciemności rozeznać nie mogłem, zadowolnił się na razie rzuceniem mnie z brutalną siłą do korytarza spiralnego, gdzie ległem bezwładny jak kłoda drzewa.

Lękałem się poruszyć, słyszałem głuche, przyspieszone bicie serca. Długi czas, bez zmiany, trwałem w tym stanie. Nareszcie posłyszałem znajome mi trzepotanie skrzydeł, po którym nastąpił bulkot jakiś i brzęk naczynia. Domyśliłem się, że potwór gasi pragnienie przy miseczce napełnionej krwią, znajdującej się w wybranej przezemnie kryjówce. Poczem legł na zwoju jedwabiu, z którego mnie wyrzucił.

Uspokojenie stopniowo ogarniało mnie. Nabrałem dostatecznej odwagi, aby wstać i zbiedz szybko kilka pięter. Dyszałem ciężko, przerażony i osłabiony doznanem przerażeniem. A już przed chwilą czułem się tak bezpieczny i dobrze usposobiony!...

Nie chciałem już szukać sobie nowego schroniska na odpoczynek, lękając się, że znowu odkryty i wyrzucony bezwzględnie zostanę. Położyłem się w galeryi na podłodze, usiłując pomimo wszystko zasnąć koniecznie. Udało mi się wkrótce; zapadłem w sen głęboki, lecz niepokojony nieprzyjemnymi i dręczącymi snami.

Budziłem się kilkakrotnie, okryty śmiertelnym potem, zdając się rozpoznawać w szemrzącej skardze morza, bijącego o podnóże wieży, odgłos szybkich kroków, nerwowe trzepotanie skrzydeł, lub szatański oddalony śmiech moich niewidzialnych wrogów. Szczególniej ten śmiech dziwny gardłowy, jak zgrzyt żelaza niepokoił mnie ciągle, budząc lęk i najgorsze przeczucia.

Nareszcie z ulgą powitałem nadejście dnia; kiedy już na tyle ciemności się rozpierzchły, że widzieć mogłem kontury otaczających mnie przedmiotów, pchany jakąś ostateczną odwagą, powróciłem na wyższe piętra zdecydowany stawić czoło tajemniczym moim przeciwnikom.

Nie napotkałem jednak nikogo.

Przejrzałem kilka kryjówek, wszystkie były puste, ale na zwojach jedwabiu odcinał się wyraźnie odcisk ciała, a miseczki z krwią wszystkie były wypróżnione. Nie rozumiałem nic z tego wszystkiego; miałem przed sobą jakąś tajemniczą, nieodgadnioną zagadkę, jak królewicz z bajki uwięziony w zaczarowanym pałacu, gdzie wypełniano wszystkie jego życzenia, a który nigdzie spotkać nie mógł jakiejś istoty ludzkiej.

Dzień ten prawie cały spędziłem w galeryi podmorskiej. Lubiłem tu przebywać. Spokojna perspektywa ciemnego morza, z bogactwem różnobarwnego kwiecia i roślinności, działała kojąco na moje rozprężone nerwy, nasuwając mi pogodniejsze myśli.

Obawiałem się już zapuścić do kryształowej wieży. Pozostało we mnie przykre wspomnienie i niezatarte, odraza do tego lepkiego, zimnego dotknięcia długich wężowych palców, których silne, brutalne dotknięcie czułem jeszcze na mojem ciele, do tego nieznanego, potężnego mojego wroga, zachowującego się względem mnie z taką złośliwą bezwzględnością.

Tydzień cały upłynął w ciągłych dręczących obawach i najgorszych przypuszczeniach. Ale przyznać muszę, że nie miałem czasu na nudzenie się. Przedsięwziąłem dokładne zbadanie podziemnego pałacu, gdzie na każdym kroku spotykały mnie coraz to ciekawsze niespodzianki.

Naród jakiś cały musiał w tych piwnicach nagromadzić wszystkie bogactwa i przepych ubiegłych wieków. Oglądałem arsenały pełne zdobyczy wojennej. Po największej części były one wykute z nieznanego mi metalu. Przypominam sobię dziś jeszcze rodzaj siekier o czworobocznych nożach ze stali szmaragdowej, błyszczącej jak złoto. Widziałem również miedź, złoto i żelazo w wielkiej obfitości; bogate nagromadzenie metalu, bardzo rzadko spotykanego w eksploatacyach ziemskich: iridium o przepięknych, mieniących się jak tęcza barwach. Z metalu tego utworzone były wielkie banie, wyłożone na wewnątrz kolcami długimi, u szczytu spojone pasem skórzanym. Nie mogłem odgadnąć do czego te szczególne banie służyć mogły.

Były tam jeszcze olbrzymie, ostre nożyce, wielkie siecie utkane z metalowych, lazurowych nici, posiane zakrzywionymi małymi haczykami.

Nie wiedziałem, czy wszystkie te przyrządy skomplikowane były bronią, czy też instrumentami do tortur, albo też może służyły do codziennego użytku mieszkańców tego podziemnego pałacu. Godziny długie spędzałem w tych arsenałach, zastanawiając się, co za istoty stworzyły to wszystko i w jakim celu nagromadziły tak bogaty zapas w tych podziemiach, obszerniejszych niż duże miasto.

Byłbym z ochotą oddał kilka lat życia, aby zbadać te tajemnice, przekonać się naocznie, kto zamieszkiwał te wspaniałe wieże kryształowe, jakiego rodzaju i inteligencyi były istoty, które potrafiły stworzyć te wszystkie cuda i kim był nieprzyjemny wróg spotkany w owej kryjówce. Zwierzę czy człowiek?

Lękałem się nawet dotykać tych wszystkich nagromadzonych przedmiotów. Oglądałem je zdaleka, ostrożnie. Raz, znalazłem tarczę srebrną podziurawioną w pośrodku; otwór, miał kilka centymetrów obwodu. Nie zastanawiając się nad tem co czynię, włożyłem palec w ten otwór. W mgnieniu oka wyskoczyła z pośrodka sprężyna, w postaci nożyka o błyszczącem ostrzu. Cudem jakimś zdołałem na czas wyciągnąć palec. Od tego dnia byłem już ostrożniejszy. Nie mogłem wiedzieć, czy każden z tych przedmiotów tu widzianych nie zawiera w sobie podobnie niebezpiecznej niespodzianki.

Dla obrony własnej jednak uzbroiłem się w znalezioną siekierę złotą, którą zawiesiłem u pasa i dzidę z iridium o zakończeniu ze srebra, która w razie potrzeby mogła się stać bardzo pożyteczną i niebezpieczną bronią.

Musiałbym dzień cały strawić na opisanie, choćby pobieżne olbrzymich magazynów, zapasów przeróżnych przedmiotów i narzędzi, jakie widziałem w tych katakumbach podmorskich. Jednakże po zbadaniu pewnych szczegółów, jedna rzecz stała się dla mnie pewnikiem, że od wieków, to wszystko opuszczone zostało. Przypuszczałem, że naród jakiś został z tych miejsc wyparty i wygnany przez obecnych mieszkańców kryształowej wierzy, przez mych nieznanych dozorców zapewne.

Odkrycie jedno sprawiło mi wielką przyjemność; napotkałem salę pełną kufrów z drzewa, przypominającego cedr czerwony, w których znajdowały się symetrycznie poukładane różne rodzaje materyi.

Tkane były z przędzy nieznanej mi, ale niektóre z nich posiadały miękkość wełny i połysk jedwabiu.

Kiedy rozłożyłem je, pewna ilość rozpadła się w strzępy drobne, drugie zaś zamieniły się w proch, jak niektóre materye zachowane ze szczątków Herkulanum i Pompei, które rozsypują się za dotknięciem palców.

Inne zaś były doskonale zakonserwowane, między innemi specyalna tkanina z piór różnokolorowych, jaka posłużyła mi do odświeżenia mojego ubioru, który był w bardzo opłakanym stanie. Sądziłem, że znalazłem magazyn ubiorów lub muzeum kostyumów, ale wkrótce poznałem swoją pomyłkę. Wszystkie sztuki materyi, które leżały przedemną, były formy kwadratowej lub trójboczne i miały na sobie hafty i aplikacye, wyobrażające przeróżne sceny. Była to biblioteka, albo też może archiwum, które byłoby prawdziwym rajem bogactwa dla archeologa. Zapewne część pokaźna historyi planety mieściła się tutaj. Przewracałem na wszystkie strony te drogocenne tkaniny o przeważnie ciemnych, głębokich tłach i jaskrawym wybitnym deseniu. Przeważał w nich kolor zielony, jasno purpurowy i żółty. Znaki i odbicia na nich podobne do hieroglifów starożytnych egipskich i starej chińskiej pisowni, były idiograficzne, to jest przedstawiały w obrazach skróconych przedmioty, które miały wyobrażać.

Musiałbym zużyć wiele lat intenzywnej pracy, aby odczytać te cudaczne znaki i powiedziałem sobie, że szaleństwem by było przystępować do niej obecnie.

Jednakże znajdowały się w tych tkanych kartach, które jedną po drugiej wyciągałem z kufrów, sceny dosyć wyraziste, które pojmowałem dostatecznie. Dały mi one wiele do myślenia. Ujrzałem na nich scenę przedstawiającą w grubych zarysach, lecz bardzo wyraźnych, Erloora rzucającego się na jednego z Marsianów; lecz inny obraz wyobrażał znowu Erloora pokonanego i pożeranego przez potwora, którego nigdy jeszcze nie widziałem na Marsie, a który składał się tylko z olbrzymiej głowy i dwóch skrzydeł; na innym obrazie ujrzałem, że ten potwór znowu był pochwycony przez jakąś masę niekształtną o rozmiarach przewyższających o wiele tamte dwie postacie.

Więc tu, tak jak na ziemi, istoty utrzymywały swoje życie za cenę życia drugich istot.

Czas upływał, nie pozostawiając po sobie zmian żadnych, nie wprowadzając nic nowego w moje położenie.

Przeszedłszy całą galeryę podmorską dosięgłem innej kryształowej wieży, lecz była ona tak podobna do pierwszej, że zaniechałem już obejrzenia trzeciej. A wszędzie panowała ta sama śmiertelna cisza, zakłócona tylko niekiedy trzepotaniem skrzydeł i echem denerwującego śmiechu, działającego tak niekorzystnie na mnie.

Nadzieje moje ujrzenia Ziemi, lub choćby zawiadomienia moich przyjaciół o obecnem mem położeniu, zamierały stopniowo. Byłem dręczony uporczywą myślą, że przyjdzie mi umrzeć tutaj, zdala od drogich mi towarzyszów bez możliwości skomunikowania się z nimi i podzielenia rezultatami mojej nadzwyczajnej wyprawy.

W tym czasie zdarzył się fakt, który wpłynął poważnie na dalsze moje przeznaczenie.

W moich podziemnych poszukiwaniach napotkałem na szereg krypt, które sądziłem iż są ostatnie. Nie były one zakryte szklannemi zastawami, a światło ze sklepienia nie oświetlało ich; były one wyciosane w samej skale, granicie delikatnoziarnistym, o purpurowem zabarwieniu. Dostęp do nich był utrudniony przez zamknięcie drzwi metalowych, które z trudem zdołałem otworzyć przy pomocy sztab i narzędzi znalezionych w arsenale.

Okoliczność ta podniecila moją ciekawość, ale nie mogłem marzyć o eksploatowaniu tych krypt w ciemnościach, które panowały wokoło. Musiałem przedtem sfabrykować sobie jakąś świecę lub pochodnię.

Załatwiłem się z tem szybko i łatwo, używszy do tej roboty wosku zasklepiającego beczki, który zmiękczyłem silnie rozcierając w palcach, poczem oblepiłem go naokoło knota skręconego ze strzępa materyi. Pozostawało mi tylko zaświecić tę improwizowaną świecę, ale nie wiedziałem jak się wziąć do tego. Próbowałem początkowo wzniecić ogień na sposób dzikich ludzi, pocierając energicznie o siebie dwie deszczułki wyjęte z pak, ale nie wiedziałem, że chcąc doprowadzić do pożądanego rezultatu należy wybrać jedną deszczułkę z twardego drzewa, a drugą z miękkiego, a może brakowało mi cierpliwości i dostatecznej przytomności umysłu.

W każdym razie przeszkoda jakaś być musiała, bo doprowadziłem tylko do tego, że się spociłem nad tą robotą jak mysz. Porzuciłem więc deseczki i zabrałem się do innego sposobu. Uderzeniem siekierki odłupałem ze ściany kawałek przezroczystego szkła i wygładzając go i pocierając mocno doprowadziłem do tego, że przybrało formę soczewki.

Umieściłem się następnie w jednem zagłębieniu, wystawionem najwięcej na operacyę słoneczną, zapaliłem moją pochodnię i dumny z tego rezultatu zeszedłem pośpiesznie do podziemnych suteryn, których przejścia były mi już znajome.

W przeciągu piętnastu minut znalazłem się w krypcie z czerwonego granitu, niecierpliwy oglądania cudów, które spodziewałem się tam zastać. Zdumienie było olbrzymie, gdy ujrzałem w tych katakumbach zbiór kul olbrzymich, czerwono brunatnych, stojących jedna na drugiej wysokim rzędem jak nasyp kul armatnich. Obejrzałem je z blizka; były nakrapiane zielonemi plamami i chropowate na powierzchni.

W tej chwili uwaga słuchaczów Roberta Darvela była tak podniecona, że wprost oczami zawiśli na jego ustach. W ciszy, która zaległa pracownię, słychać tylko było zgrzyt pióra stenografującego lorda Frymcoocka.

Uderzeniem siekiery rozbiłem jedną z tych kul; wnętrze jej było białe, poprzerzynane czerwonemi szklannemi rurami. Z jednej z nich — rozbitej, sączył się płyn gęsty, silnie aromatyczny. Jednem słowem, kule te całkiem były podobną do tej, z której wydobyliście mnie.

— Ale — przerwał Ralf Pitcher, niezdolny już do opanowania dłużej swojej ciekawości — cóż znalazłeś jeszcze we wnętrzu tej kuli.

— Odgadnijcie!... Ujrzałem tam zwiniętego w kłębek Erloora, na podobieństwo mumii. Był tak zesztywniały i zasuszony, że wziąłem go za trupa.

— Tak, jak my ciebie w pierwszej chwili.

— Tak. I nie dziwię się wam. Byłem u szczytu zdziwienia i zdumienia. Przecież widziałem na własne oczy w podziemnem schronisku tych potworów, trupiarnię ich, podobna do wielkiego cmentarzyska.

Wytłomaczyłem sobie to ciekawe zjawisko w ten sposób, że ludy starożytne zamieszkujące w dawnych czasach te krypty, zabalsamowały Erloorów, jak niegdyś Egipcyanie balsamowali ibisy, koty i krokodyle.

Poszedłem dalej korytarzami tych oryginalnych katakumb zastanawiając się do czego służyć mogły rury napełnione tym wonnym płynem. Przypuszczam, że to jest preparat antiseptyczny przeznaczony do konserwowania zwłok. Jak mogliście się sami przekonać naocznie, myliłem się z gruntu.

Płyn tych tub zawiera także azoty, węglany i inne substancye potrzebne do życia, i gdybym miał w ręku sposób ich preparowania, możnaby życie nasze przedłużać w nieskończoność.

Płyn, wsiąknięty w skórę, dostarcza organizmowi odżywczych soków, podczas nawet snu kataleptycznego i gdy czynność serca ograniczona jest i słaba.

Pigułki spożywane przez fakirów przed zakopaniem ich żywcem w ziemię muszą posiadać szczególną tę własność. Ale pozostawmy już ten temat, jest to punkt, który kiedyś jeszcze rozświetlić pragnę.

Wchłonienie ożywczych substancyi przez skórę posiada tę wyższość, że nie wyczerpuje funkcyi żołądka, coby było rzeczą niemożliwą w stanie katalepsyi człowieka, a utrzymuje organizm w stanie energii i sił żywotnych.

Erloor, którego wydobyłem z kuli, był zapewnie żywym jeszcze, ale nie mogłem pojąć, w jakim celu zabalsamowano go. Może z niego i wielu innych, uczyniono zapas świeżej żywności, łatwej do konserwowania w razie oblężenia lub głodu. Albo też zachowywano ich jako świadków lat ubiegłych? Nigdy tej kwestyi wyjaśnić nie byłem w stanie.

Zatopiony w tych rozmyślaniach doszedłem do innego szeregu krypt, mniejszych od poprzednich, gdzie kule fosforyczne znajdowały się jeszcze w więszej ilości. Ale tutaj były one koloru zielonego.

Rozstrzaskałem pierwszą z brzegu; czerwone tuby jak kolce kasztana mieściły się w jej wnętrzu, ale pozatem nic w kuli nie znalazłem. Zniszczyłem drugą i trzecią, zawsze z tym samym skutkiem, kule były puste. W tej chwili, prawie nad mojemi uszami rozległ się donośny gardłowy śmiech. Odwróciłem się szybko, przygotowany na wszystko, ale już cisza zaległa w około, a ja byłem sam w krypcie żyjących stworzeń.

Kask opalowy.

W tem miejscu Robert Darvel przerwał opowiadanie. Na twarzy jego odbiło się wahanie i walka sprzecznych uczuć. Zobowiązałem się solennie przed przyjaciółmi nie taić żadnego szczegółu ciekawego opowiadania, a jednak były tam rzeczy tak przykre i wzruszające, że wolałbym o nich wcale nie wspominać.

— Jesteś zmęczony? — zapytała łagodnie miss Alberta, pochylając się nad nim. Może pragniesz odpocząć chwilę?

— O! nigdy w życiu! — zaprzeczył Ralf Pitcher, zrywając się pospiesznie z krzesła. — Mam nadzieję, że Robert nie przerwie opowiadania w miejscu, tak interesującem! Toby było okrutnem z jego strony!

— Ależ panie Ralfie — próbowała zreflektować miss Allice niecierpliwego uczonego.

— Nie jestem wcale zmęczony — pospieszył z zapewnieniem Robert Darvel, uśmiechając się do przyjaciela życzliwie — i nie chcę ciekawości rozniecać naprózno, ale wierzcie mi to, co mam wam jeszcze do powiedzenia, przechodzi poprostu w nieprawdopodobność, nie poddaje się żadnym logicznym rozumowaniom ludzkim, tak, że sam jestem jeszcze pod wrażeniem dziwnego oszołomienia zmysłów, gdy o tem wspominam.

— Mów! mów! Robercie! — błagał Ralf Pitcher, wpatrując się w przyjaciela spojrzeniem pełnem uwielbienia i uznania.

— Wszyscy ci, którzy kiedykolwiek pisali o planecie Marsa — podjął Robert Darvel — opierali się na pewnych danych, zbliżonych do faktów i objawów ziemskich, ubarwiając je dowoli grą imaginacyi podniecenej, lub niekiedy złośliwą ironią. To, co ja opowiadam, to co widziałem, jest poza obrębem najchimeryczniejszych przypuszczeń.

Jest to wielki i monstrualny sen, jak marzenie Aeopatypsy widziane przez pryzmat wspaniałej fantazyi Edgarda Poëgo.

— Mów, mów, Robercie! słuchamy cię — szepnęła silnie wzruszona miss Alberta.

Z oczami przymkniętymi, jakgdyby biegnąc myślami za mirażem krwawej planety, Robert Darvel mówić rozpoczął po chwilowem skupieniu się.

— Mówiłem wam już, jakie uczucie nieludzkiego przerażenia śmiech ten okropny wywierał na mnie; dźwięki te straszne brzmią jeszcze w moim mózgu. Nie wierzyłem dotąd w rzeczy nadnaturalne.

To, co nazywamy tem mianem, jest zrodzone z naszej nieświadomości i słabości. Istnieją tylko rzeczy o których nic nie wiemy, lub których nie pojmujemy wcale.

Otrząsnąłem się cokolwiek z niewytłumaczonego lęku, wywołanego tym śmiechem szatańskim nieznanego mi jakiegoś potwora i poszedłem dalej, upewniwszy się, że pozostają mi jeszcze trzy pochodnie sfabrykowane poprzednio. Na końcu galeryi z kulami zielonemi, zostałem wstrzymany przez furtę masywną, której pręty były wielkości kolumn, a były tak zbliżone do siebie, że nie mogłem się przez nie w żaden sposób przecisnąć i dostać na drugą stronę. Metal, silnie oksydowany był koloru ciemnobrunatnego, ale zdrapawszy pierwszą powłokę ostrzem siekierki, przekonałem się, że w pierwotnym stanie posiadał żywe, szmaragdowe zabarwienie.

Uderzyłem w tę bramę kilkakrotnie siekierą, nie w nadziei rozstrzaskania jej, bo to wydawało mi się nieprawdopodobnem, ale poprostu machinalnym jakimś odruchem i zobaczyłem ze zdumieniem, że z trzaskiem ustąpiła pod naciskiem i rozwaliła się zupełnie, tak, jakgdyby była zbudowana nie z silnego metalu, lecz ze spróchniałego drzewa.

Przypomniałem sobie, że każdy metal trzymany długo w ogniu nabiera hartu i trwałości, lecz nie oprze się czasowi i silnym miarowym uderzeniom.

Atomy metaliczne, na chwilę spojone siłą kucia, niedługo powracają do pierwotnego stanu krystalicznego i kruchość ich wtedy jest nadzwyczajna.

Dla tej przyczyny zmieniają tak często osie u lokomotyw, które inaczej popękałyby z własnej przyczyny. Wiadomem jest również, że na metale najsilniejsze czas działa najwięcej.

Pręty, które zniszczyłem i których szczątki oglądałem, teraz stanowią tylko skorupę spaloną i zżartą wilgocią wieków.

Zachowały one tylko pozór rzeczy zniszczonych.

Przebyłem zaporę i znalazłem się naprzeciw szerokiej studni, zkąd wznosiły się duszące zapachy i gazy.

Podniosłem w górę pochodnię i ujrzałem na ścianach w równych odstępach umieszczone ogniwa, zapewne dla ułatwienia zejścia.

Nie namyślałem się ani chwili. Za pomocą kawałka materyi, którą uniosłem z sobą z galeryi na wszelki wypadek, umocowałem pochodnie przy czole i upewniwszy się o sile i wytrzymałości ogniw żelaznych, zacząłem schodzić ostrożnie. Kilkakrotnie miałem ochotę powrócić wstecz; wstrętny odór stęchlizny i wilgoci, wydobywający się z otworu, utrudniał oddech i przyprawiał o zawrót głowy.

Ale postanowiłem sobie wytrwać koniecznie.

Już około piętnastu minut schodziłem w tych cuchnących ciemnościach i miałem wrażenie, że nie ubywa mi wcale drogi, że poruszam się ciągle w jednem miejscu.

C. d. n.

Na teatrze wojny europejskiej.

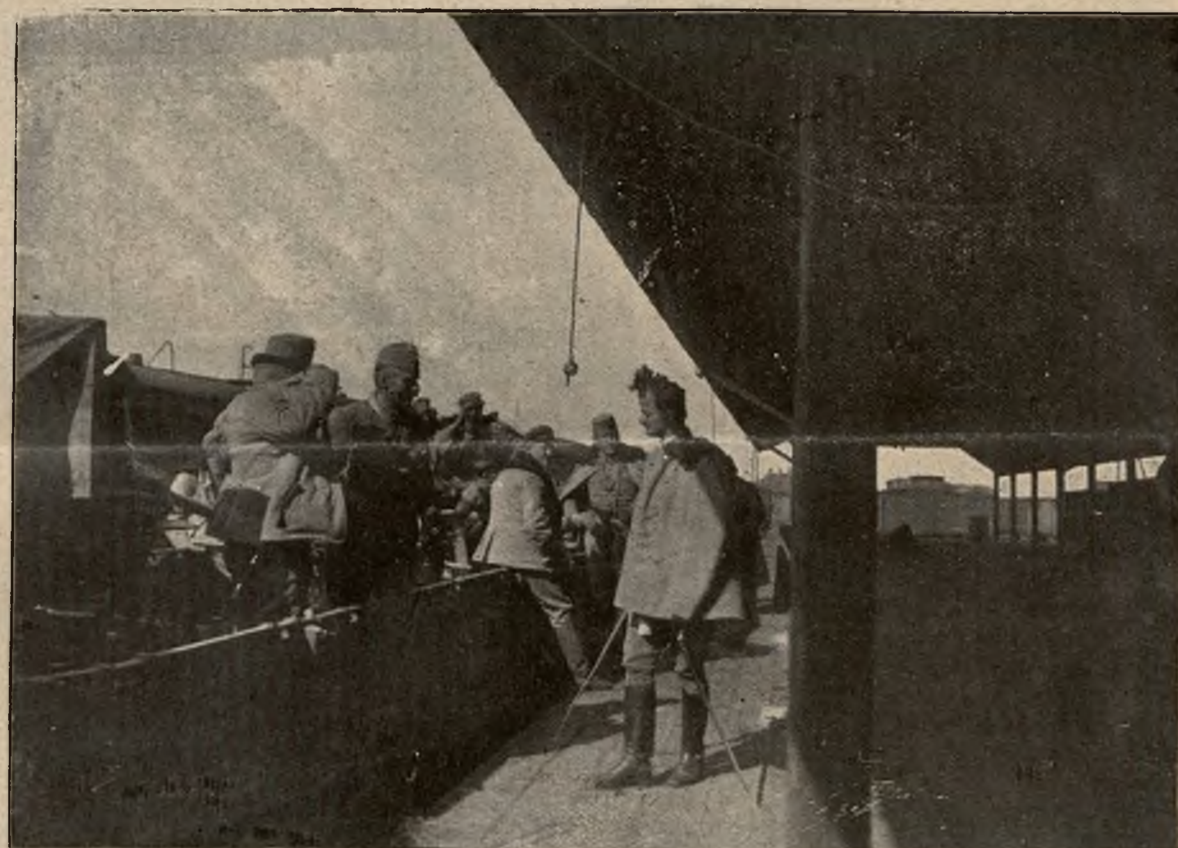
Spokojne koncentrowanie się armii walczących na północno-wschodnim terenie obecnej wojny t. j. Galicyi, jakie odbywało się w ubiegłym tygodniu, ustąpiło miejsca nowej ofenzywie sprzymierzonych wojsk austryacko-niemieckich. Zatrzymana w pochodzie nawała rosyjska — na linii Przemyśla pójdzie, zdaje się, już z powrotem, uwalniając kraj nasz od tej inwazyi moskiewskiej. Według ostatnich doniesień z wojennej kwatery operacye w Galicyi i Królestwie pomyślnie postępują naprzód. Armie rosyjskie, zagrażające naszym od północy, zostały odparte, a obecnie cofają się pospiesznie przed atakiem wojsk sprzymierzonych, które na terenie Królestwa zajęły miasta Opatów i Klimontów i stale idą naprzód, łamiąc slaby opór nieprzyjacielski. Zamiar sztabu rosyjskiego — złamania sił naszych i przemarszu przez Galicyę spalił na panewce: ustępujące wojska austryackie oparły się silnie o fortece i umocniwszy front, ruszają teraz na wroga, wyczerpanego walką. Plan ten, rokujący nam zwycięstwo, przeprowadzają świetnie wojska sprzymierzone, a dalsze jego skutki, zdaje się, nie każą długo



Ewakuacya Krakowa: Z najcenniejszym dobytkiem na obczyznę.



Na pole walki: Pociąg z konnicą Legionu opuszcza dworzec krakowski



Na pole walki: Tren konnicy Legionu przed odjazdem z dworca krakowskiego





Ewakuacya Krakowa:

Transport rzeczy, zabieranych przez wyjeżdżających.

Przed lokalem komitetu opiekuńczego nad wychodźcami z dzielnicy Grzegórzeckiej.

na siebie czekać. Pomyślne rozpoczęcie tego ataku polepszyło odrazu sytuacyę i nastrój w kraju, któremu płochliwi bajczarze nadawali smutny wygląd.

Na drugim terenie wojny z Rosyą, t. j. w guberni suwalskiej, odnosi oręż niemiecki zwycięstwo po zwycięstwie. Po rozgromieniu armii Rennenkampfa, zebrał on resztki swych wojsk i ruszył przeciw zwycięsko postępującemu generałowi Hindenburgowi. Spotkanie jednak przyniosło znów klęskę Rosyanom; pod Augustowem zostali też pobici i w ten sposób zachodnio-północne armie rosyjskie zostały rozbite. Klęska ta wywołała w Petersburgu, przezwanym ostatnio przez cara na Petrograd, wielkie wrażenie, a olbrzymie straty poniesione w tych bitwach powiększa jeszcze bardziej dostanie się do niewoli niemieckiej aż dwóch generałów rosyjskich. Początkowy entuzyatyzm stolicy i całej Rosyi znacznie ostygł i zastąpiła go poważna trwoga o wynik tej wojny, zapowiadający się coraz mniej pomyślnie dla moskiewskiego imperyum.

Drugi rozdział wojny europejskiej, odgrywający się w Belgii i Francyi, zmienił swój charakter. Walki, jakie tam się toczą, zmieniły się w straszne zapasy, prowadzone z gwałtownością ze strony atakującej, a z rozpaczą przez słabnących już Francuzów. Bitwy we Francyi trwają całymi tygodniami bez przerwy, walczący biją się o każdą piędź ziemi.

Francya wespół z Anglią ściąga kolorowe wojska z Indyi i Afryki, czując słabnące siły armii europejskich. Linia francuska Soissons—Verdun—Toul zachwiała się w tych dniach poważnie a wzięcie przez wojska niemieckie fortu Camp de Romains przełamało ją, mimo bohaterskich wysiłków Francuzów. Pod Verdun toczą się śmiertelne zapasy, tam mimo zaciętych ataków nie mogą Niemcy przełamać oporu Francuzów. Zrozumiawszy, że ich dotychczasowa taktyka, polegająca na ciągłych atakach jest zgubną, Francuzi jęli się defenzywy, i ta udaje im się znacznie lepiej. Zatrzymali już dość długo armię niemiecką i odsunęli od siebie przynajmniej do chwili obecnej szybkie i łatwe wzięcie Paryża.

Walki pod Antwerpią idą znacznie lepiej Niemcom według ostatnich relacyi, położenie twierdzy staje się coraz krytyczniejsze, bo padła już zewnętrzna linia fortów i walka przeniosła się na teren bl.zki miastu.



Ewakuacya Krakowa: Mieszkańcy Grzegórzek gremialnie wyruszają z lokalu komitetu.

WILLIAM THOMPSON.

FATALNA BLIZNA.

Z TAJEMNIC NOWEGO-JORKU.

(Z angielskiego).

7

Nie dokończyła, bo w tej samej chwili koń jej, widocznie czemś spłoszony, rzucił się tak gwałtownie w bok, że każdego innego mniej wprawnego jeźdźca byłby niechybnie wysadził z siodła. Pani Nelly jednak, nie tracąc ani na chwilę przytomności umysłu, ściągnęła mocno cugle i osadziła swego wierzchowca na miejscu.

— Ach! to nic! — zawołała z uśmiechem do spieszącego ku niej, przestraszonego męża — koń się spłoszył, bo jakaś jaskrawa szmatka, przyniesiona przez wiatr, uderzyła go między oczy. O! widzisz, zawisła teraz na gałęzi. Schwyć proszę cię ten gałganek i podaj mi go.

Mąż posłusznie wykonał jej zlecenie.

— Masz tę szmatkę — rzekł z uśmiechem — to jest kawałek czerwonej, brudnej wstążki. Lepiej nie dotykaj tego Nelly.

— Co, wstążka? — zawołała żywo pani Larinson-Peach — ależ Arturze daj mi ją, daj natychmiast!

Oczy jej rozbłysły.

— Czy chcesz zachować tę wstążkę jako trofeum z tej wyprawy? Jeżeli ci na tem zależy, to proszę cię, masz ten brudny łachmanek.

Pani Nelly wzięła do ręki czerwoną wstążkę, podaną jej przez męża, wygładziła starannie na kolanie i przybliżyła do oczu. Nagle drgnęła tak silnie na siodle, że koń jej zaczął znowu okazywać niepokój.

— No, wracamy? — zapytał pan Larinson-Peach, robiąc przytem wielkie oczy na widok, że jego żona kawałek brudnej wstążki wsuwa starannie za stanik.

— Cóż to znowu za nowa mania kolekcyonerska, Nelly? — roześmiał się. — No, jeżeli zbieranie brudnych gałganków sprawia ci przyjemność, to je sobie zbieraj, a tymczasem wracajmy do domu.

Nelly nic nie odpowiedziała, wogóle przez całą drogę powrotną zachowała zupełne milczenie.

Była wzburzona i wzruszona i siliła się to ukryć przed mężem.

Wzruszenie jej było zupełnie naturalnem wobec odkrycia, które zrobiła.

Gałganek, który schowała tak starannie, był kawałkiem czerwonej jedwabnej wstążki, zahaftowanej niebieskiemi nićmi.

Po bliższem przyjrzeniu się, bezładne na pozór ściegi układały się w szeregi liter, tworzących następujące słowa:

OWILLUJESTEMUWIĘZIONARATUJALLICE.

ROZDZIAŁ XIII.

Allice w więzieniu.

— Ach! Jeżeli to wszystko tak dalej trwać będzie, to doprawdy mogę stracić odwagę. Gdybym przynajmniej mogła skreślić mój list na papierze, to wiatr na lotnych skrzydłach uniósłby go prędzej... Ale te wstążki... Ach Boże, mój Boże!

Młoda dziewczyna westchnęła ciężko i z jak największą ostrożnością usiadła, wyciągając przed siebie obie ręce w celu utrzymania równowagi.

Niezwykłą była zaiste sytuacya, w której się znajdowała tak piękna i elegancka dama.

Balansowała ona z trudem na osobliwego rodzaju piramidzie.

Na miękkim materacu wytwornego metalowego łóżka stał wielki fotel bujający, na którym piętrzyła się góra poduszek, kołder, dywanów i t. p. przedmiotów.

Dziewczyna wydostała się na sam wierzchołek tej chwiejnej piramidy w ten sposób, że mogłaby dosięgnąć ręką wielkiego w dachu umieszczonego okna, którego jedna szyba była obecnie na zewnątrz uchylona, dając przystęp ciepłym promieniom słonecznym i świeżym tchnieniom letniego wiatru.

Tak! mogłaby, gdyby wszelkiemu zetknięciu się z oknem nie przeszkadzała gęsta druciana siatka, świadcząca wyraźnie, że ten obszerny, elegancko umeblowany pokój jest jednakowoż celą więzienną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Zanim przystąpię do porządku dziennego, pozwolę sobie przytoczyć dosłownie list, jaki otrzymałem od jednego z Szanownych Czytelników, mianowicie od owego, o którego szczęściu loteryjnem doniosłem w poprzednim numerze.

Brzmi on (naturalnie list, nie Czytelnik...), jak następuje:

„Wielce szanowny Panie Kronikarzu!

Na podstawie § 19 ustawy prasowej proszę o sprostowanie na tem samem miejscu i tym samym drukiem lekkomyślnie podanej wiadomości, jakobym przez całe dwa miesiące wojenne narzekał na brak dochodów z powodu prawie całkowitego zawieszenia czynności sądowych.

Nie jest to prawdą, narzekałem bowiem tylko przez miesiąc sierpień, we wrześniu sytuacya znacznie się już poprawiła, na dowód czego mogę na żądanie podać nazwiska mych klientów, których w tym czasie, według wszelkich zasad proceduralnych, ku naszemu obustronnemu zadowoleniu obsłużyłem.

Fałszem także jest, jakoby w mym porfelu pozostało czekających na swą kolej aż dwadzieścia losów loteryi klasowej, mam ich obecnie wszystkiego dwanaście, co mogą stwierdzić tak wiarygodne osobistości, jak moi przyjaciele, z którymi wspólnie te losy zakupiłem.

Również nie przypominam sobie wcale, bym Panu Kronikarzowi obiecywał pięć procent od wygranej, tytułem *Schweiggeldu*, natomiast jestem gotów oddać mu na wyłączną własność te losy, które w piątej klasie wyciągnięte nie zostaną, nie żądając nawet zwrotu pieniędzy, wyłożonych na ich zakupno. Jeżeli więc Pan Kronikarz na to reflektuje, zechce się zgłosić u mnie w kilka dni po nadejściu ostatniej urzędowej listy wygranych.

Zdradza natomiast Autor kroniki wybitną nieznajomość ustaw skarbowych, żaden bowiem inspektor podatkowy, choćby on był najbardziej energiczny, nie znajdzie ani paragrafu, ani rozporządzenia ministeryalnego, któreby zalecało opodatkowanie szczęścia, „jakie się ma w życiu". To jest wystawianie na pośmiewisko tak poważnej instytucyi, jaką jest c. k. Sruba podatkowa.

Przyjm Pan wyrazy mego oburzenia, ale zarazem i poważania i strzeż się na przyszłość rozsiewania podobnych niepokojących wieści, gdyby bowiem znajomi dowiedzieli się o mem szczęściu, z pewnością nachodziliby mnie z prośbami o pożyczkę, a wiesz chyba, że adwokat jest na to, aby brał, nie aby dawał...

(Podpis nieczytelny)".

W odpowiedzi na ten list mam zaszczyt zawiadomić Czcigodnego Pana Mecenasa, że obecnie, z powodu stanu wyjątkowego i moratoryum, śmieję się z Jego § 19. Jeśli zaś pismo Jego zamieściłem, to bynajmniej nie ze strachu przed odpowiedzialnością karno sądową, ale dla miłej zgody, w jakiej żyć pragnę ze wszystkimi współobywatelami, których uważam jako *socios doloris* w tych ciężkich czasach. Żal mi także, że nie mogę zadość uczynić Jego żądaniu i postarać się o podanie sprostowania „tym samym drukiem", niestety jednak skład poprzedniej kroniki już rozebrany, a czcionki rozrzucone są po kaszcie.

Trzeba było pospieszyć się z listem.

Co do reszty punktów sprostowania, to mniej więcej zgadzam się z nimi i przyjmuję do swej wiadomości, z tą jednak uwagą, iż zrzekam się owych niewyciągniętych losów. Może Szanowny Ofiarodawca przeznaczyć je na jakiś cel dobroczynny, dajmy na to na fundusz wsparcia wstydzących się pracować, lub na założenie katedry śpiewu i muzyki w szkole głuchoniemych. Kandydata na tą posadę mam już w osobie jednego ze znanych naszych krytyków muzycznych.

Na jedno tylko zgadzam się bez zastrzeżeń, to jest na zarzut „nieznajomości ustaw", bo przekonałem się o tem z okazyi ogłoszenia nowego moratoryum, którego absolutnie zrozumieć nie mogę, choć przeczytałem cały komunikat od początku do końca, a potem od końca do początku. Zasięgałem w tej kwestyi zdania kilku wybitnych prawników (jeden z nich jest dyurnistą w magistracie, drugi służy przy pospolitem ruszeniu), każdy z nich powtórzył mi to samo, że właściwie nie wie, o co chodziło autorowi rozporządzenia.

Wobec tego zawiadamiam mych P. T. Wierzycieli, o ile nie wyjechali dotąd z Krakowa, iż i nadal, to jest aż do chwili dokładnego przestudyowania komunikatu moratoryjnego, muszę się wstrzymać od płacenia długów.

Na pierwszym punkcie porządku dziennego niniejszej kroniki znajdować się miała naturalnie ewakuacya, pod której znakiem każdy z nas żyje, bez względu na to, czy otrzymał pożyczkę w magistracie na wyjazd z obrębu twierdzy, czy też nie.

Zapytywano mnie z kilku stron, co oznacza wyraz ten właściwie, postaram się więc zapoznać z jego znaczeniem P. T. Czytelników bez względu na to, czy już zapłacili prenumeratę za bieżący kwartał, czy też dopiero noszą się z tą szlachetną myślą.

Zdaje mi się, że każdy mnie zrozumie, mam bowiem, jak się już nieraz mogłem przekonać, dar jasnego wykładu, że niech się niejeden zwyczajny profesor uniwersytetu schowa!

Ewakuacya więc, w tem znaczeniu, jak ją obecnie pojmujemy, jest to, mówiąc innemi słowy, wypróżnienie wojenne, to jest oczyszczenie fortecy na wypadek oblężenia z osobników, któreby tu zawadzały. W pierwszym więc rzędzie należy się postarać o wysłanie, i to bardzo daleko, kamieniczników, którzy naprzykrzają się lokatorom o czynsz i czynią im jeszcze bardziej gorzką i tak już dość cierpką dolę. Następnie radziłbym wyszupasować całą czarną giełdę, między jej członkami znajdują się bowiem jednostki, ogromnie niebezpieczne i zagrażające spokojowi publicznemu. Ja sam, znalazłszy się onegdaj w okolicy kościoła św. Wojciecha, musiałem zebrać cały charakter, jaki mam w nogach, by ujść przed pościgiem pewnej damy, która z parasolem w jednej ręce, a nieodstępną torbą w drugiej, puściła się za mną w pogoń.

Na szczęście, w tej właśnie okolicy jest kilka kamienic przechodnich, poszedłem więc w ślady Almanzora z „Alpuhary" i w jednej z nich „zmyliłem pogonie"...

Wołała wprawdzie za mną (żydówka, nie kamienica!...): „Panie godny!... Panie godny!... Wiwróć się pan!...", pozostałem jednak nieczuły, zwłaszcza, że od kilku miesięcy zalegam z procentami, nie mówiąc już o kapitale, który w danym wypadku zasługuje w samej rzeczy na nazwę żelaznego.

Wyobrażam sobie, jaką frajdę sprawiłaby ta scena pierwszemu lepszemu przedsiębiorcy kinematograficznemu, gdyby mu się ją udało chwycić na film. Choć mi nie jest tak na imię, możnaby obraz zatytułować: „Ucieczka cnotliwego Józefa przed zakusami namiętnej Putyfary".

Że film podobny mógłby i z pewnością zrobiłby furorę, za to ręczę, ze względu też, iż zmarł nieodżałowany Maks Linder, któremu „Nowości" poświęciły tak czułe wspomnienie, gotów nawet jestem pozować do zdjęcia, o ile naturalnie otrzymam odpowiednie honoraryum.

Aby jednak uchronić naszych Józefów od napaści owych Putyfar, należy zastosować tutaj ustawę z całą surowością i ewakuować jak najprędzej całą czarną giełdę.

Pozatem powinno się usunąć bezwarunkowo z obrębu twierdzy wszystkie teściowe, bez względu na wyznanie, wiek i tuszę, a sądzę, że chyba każdy zgodzi się na moją propozycyę, kto tylko był kiedykolwiek w tem... powiedzmy... miłem położeniu, iż posiadał teściowę.

Przepędzi się je za siódmą górę i rzekę, zapasy zaś, jakie posiadają, rozdzieli między kawalerów, by w czasie oblężenia nie pomarli z głodu. Każdy jednak z obdarowanych musi złożyć przysięgę, iż raz na zawsze wyrzeka się teściowej i wszelkich jej spraw.

Gdyby później pokazało się, że który z nich przysięgi nie dotrzymał, w takim razie... sam sobie będzie winien.

Względem kogo stosować zresztą ustawę ewakuacyjną, to już rzecz komendy, ja się tam w te sprawy nie chcę nawet mieszać.

Największy przecież lament powstał w całym Krakowie, gdy rozpuścił ktoś wiadomość, że wszystkie niewiasty zostaną przymusowo z miasta wydalone. Zwołano nawet zgromadzenie interesowanych, na które zaproszono i niżej niepodpisanego, jako sprawozdawcę.

Przewodniczyła mecenasowa Mężołubska, która zagaiła obrady temi słowy:

— Kochane panie i panny! Zebrałyśmy się tutaj, aby zaprotestować przeciw barbarzyńskiemu rozporządzeniu władz, chcących nas oderwać od tych, których kochamy, to jest od mężów naszych i dzieci...

W tem miejscu przerwała jednak prezesowej panna Cnotliwska, członek czynny Bractwa dobrej śmierci, wołając:

— Protestuję w imieniu swojem i wielu innych! Ja nie mam ani męża, ani tem samem dzieci!...

— Proszę mi nie przerywać! — odpowiedziała zgniewana mecenasowa. — Otóż, moje kochane panie, pomyślcie tylko, ile godzin, ba dni, tygodni lub może miesięcy przyjdzie nam spędzić w niepewności, zdala od naszych najdroższych... (...Z głębi sali słychać kilka przeciągłych westchnień...), nie wiedząc, co się z nimi dzieje. Nie! Moje panie, my na to zgodzić się nie możemy, stawiam więc wniosek, by natychmiast wybrać komisyę matkę... (Głos z sali: A czy mogą do niej należeć i panny?...), któraby udała się, gdzie należy i postarała o cofnięcie wydanego rozporządzenia! Chcą nas wywieźć gdzieś do Czech lub na Morawy, a może jeszcze dalej, my na to pozwolić nie możemy, bo nasze miejsce, tak w dzień, jak i w nocy, przy tych, którym przy ołtarzu ślubowałyśmy wierność aż do śmierci. Skończyłam!

— To ja zacznę! — odezwała się panna Cnotliwska swym skrzeczącym głosem. — I ja jestem przeciwną wywiezieniu nas przymusowo z granic Krakowa, ale bynajmniej nie z tak egoistycznych pobudek, jak te, o których wspomniała szanowna moja przedmowczyni. Ja, jeśli uznaję to rozporządzenie za rzeczywiście drakońskie, to tylko z powodów natury ogólno ludzkiej i ze względu na moralność... Pomyślcie tylko, moje panie, ile to będzie zgorszenia, gdy nas tu nie będzie...

— Skądże znowu? — przerywa tym razem mecenasowa Mężołubska — Przecież wszystkie kobiety muszą wyjechać!

— Nie wierz im pani! Oni tylko tak mówią, by się nas pozbyć, a zaręczam, iż postarają się o to, że zostaną, pani już wie, te osoby, co to są powodem, iż właśni mężowie zaniedbują was i łamią zaprzysiężoną wierność.

— Hm! Hm! Skąd pani jednak wie o tem?... Przecież pani dotąd mężatką nigdy jeszcze nie była... Chyba...

— Jakie chyba?... Wypraszam sobie wszelkie chyba... Otóż, stawiam wniosek, by kuć żelazo póki gorące, to jest nie wybierać żadnych komisyi, ale w komplecie tak, jak tu jesteśmy, obejść bezzwłocznie wszystkie władze i przedstawić im, co nas boli. Większość naczelników władz to ojcowie, pojmą więc, co to znaczy boleść żon i matek, choć, prawdę mówiąc, między ojcostwem a macierzyństwem jest taka różnica, jak...

Tu odezwał się znowu jakiś gruby głos z kąta:

— A jakże! Pani się zna na tem, jak ślepy na kiszonych ogórkach... Co to dużo gadać... Mogą sobie wydawać rozporządzenia, a my nie pojedziemy i basta! Co też robiłby mój najdroższy Tomuś, gdyby mnie przy nim nie było? Kto potrafiłby tak czule opiekować się nim, jak ja?

— Aha! — dochodzi znów cienki głosik z pośród audytoryum — To zapewne dlatego był kiedyś taki spuchnięty i opowiadał u Hawełki, że go w biurze zawiało!...

— Moja pani! Nie wtykaj pani nosa w nasze domowe sprawy... Ja tam nie jestem ciekawa, co się u was dzieje! A mogłabym dużo o tem powiedzieć, opowiadała mi bowiem dziewczyna, która przedtem u was służyła... Kończmy już raz, spieszy mi się, bo u mnie dziś wielkie pranie! A tym szelmom dziewkom wierzyć nie można... Ja tu jestem, a ona tam z pewnością wystaje z kawalerem przed bramą...

— Wobec tego zamykam posiedzenie i zapraszam panie na jutro! — zakończyła przewodnicząca, której także się spieszyło, zaproszoną bowiem była na herbatkę do doktorowej Wszędobylskiej, znanej z tego, iż najdokładniej poinformowaną była o tem, co się w Krakowie dzieje, działo, a nawet dziać będzie.

Rozeszły się więc szanowne niewiasty, obiecując się spotkać znowu jutro i ostatecznie uchwalić, że nie ruszą się z Krakowa, a ustąpią, chyba przed gwałtem.

I ktoby to był powiedział, że jedna taka ewakuacya może tyle złego narobić. Czekajmy przecież, a doczekamy się, o ile wiem, tryumfu niewiast, które postawią na swojem, zwłaszcza, że o wydaniu podobnego rozporządzenia nikomu się nawet nie śniło.

Ewakuacya, to w każdym razie nic przyjemnego, przekonałem się o tem, widząc mieszkańców gmin przyłączonych, opuszczających Kraków. Gaiotą się biedacy, niczem śledzie w beczce, podmiejskie piękności narzekają, iż nie mogą się zmieścić we wagonach ze swymi kapeluszami.

Krem do zębów
KALODONT
Woda do ust.

LALKI Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE** **ul. Grodzka 2**

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 331.

KIMONO

Kraków, ul. Karmelicka L. 7

WYŁĄCZNY MAGAZYN i PRACOWNIA

Zamówienia uskutecznia do 4 godzin.

BLUZEK

„KRYSZTAŁ" Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Podgórze, Słowackiego 27 — Telefon 3232

POLSKA FABRYKA WARSZAWSKICH CUKRÓW i CZEKOLADY

poleca Warszawskie karmelki pierwszorzędnej jakości wyrabiane syst. **Witolda Sobolewskiego.**

Właściciele fabryki: Wacław Wasilewski i Ska.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Nerwowo chorzy mężczyźni

(Neurastenicy)



niech żądają broszury **o natychmiastowym** usunięciu tego zła po nadesłaniu 40 h w markach pocztow. Adres: **„Nowa Mechanika 232"** Fach pocztowy 40, Budapeszt, Główna poczta.

M i e j s c e w o l n e.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

Zakłady „Nowości Illustrowanych"

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

ADMINISTRACYA

„Nowości Illustrowanych" odsprzedaje z każdego numeru fotografie i klisze cynkowe, wykonane we własnym

ZAKŁADZIE CYNKOGRAFICZNYM

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.